

JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

Zbigniew Cybulski żył intensywnie, wiecznie rozbiegany, zawsze w pośpiechu. Tak jak wtedy, gdy 8 stycznia 1967 roku wskakiwał na dworcu we Wrocławiu do pędzącego pociągu i noga ześlizgnęła mu się ze stopnia.

DIAMENT NA ŚMIETNIKU

Czy był wielkim aktorem? Nie. Czy miał talent? Na pewno. Czy był genialny? Kto wie. Ale był przede wszystkim fascynujący i niedokończony – tak mówił o Zbyszku Cybulskim Jan Kreczmar, znakomity aktor i słynny rektor warszawskiej PWST.

Od tragicznej śmierci Zbigniewa Cybulskiego mija dokładnie pół wieku, a on wciąż jest legendą. Został nią zresztą już za życia. Po „Popiele i diamencie” Andrzeja Wajdy pisano o jego Maćku Chelmskim jako o ostatnim romantyku, który ginie na śmietniku historii. Sam nie powtórzył jego losu, stał się największym mitem polskiego kina. Grał u Wajdy, Forda, Kawalerowicza, Morgensterna, Hasa, Kutza i Konwickiego, ale ciągle czekał na propozycję na miarę Maćka Chelmskiego. Spotkawszy kiedyś Andrzeja Wajdę na lotnisku, rzucił mu pełne żalu zdanie: „Jeszcze za mną zatęsknisz...”. Reżyser rzeczywiście zatęsknił. Z tęsknoty za nim nakręcił „Wszystko na sprzedaż”.

Dorota Karaś, autorka wydanej właśnie książki „Cybulski, Podwójne salto”, pytając Andrzeja Wajdę o najsłynniejszą rolę Cybulskiego, otrzymała następującą odpowiedź: – Powinna mnie pani zapytać raczej, jak to się stało, że pozwoliłem mu tak grać. Ja na to odpowiem: bo byłem dobrym reżyserem. Gdy Cybulski przyszedł na zdjęcie do „Popiołu i diamentu” ubrany po swojemu, powinienem mu powiedzieć: „Zbysiu, czyś ty zwariował? Przebierz się w kostium, bo kręcimy historyczny film”. Ale pozwoliłem mu grać, jak chciał, i to mnie uratowało. On był już wtedy bohaterem następnego pokolenia, a nie generacji w długich butach, którą znaleźmy z filmów starszych reżyserów. Zbyszek przed rolą Maćka widział w Paryżu jeden film z Jamesem Deanem. Nie potrzebowaliśmy wtedy długich studiów. Zobaczyliśmy coś raz i wystarczyło.

Patrz na sekundnik!

Zbyszek wciąż kojarzy się wielu z kimś bardzo młodzięcym, czy nawet chłopięcym, z kimś, kto przeżył swe życie bardzo intensywnie i jest symbolem pokolenia – mówi Alfred Andrys, wieloletni przyjaciel Zbigniewa Cybulskiego, świadek jego śmiertelnego wypadku na dworcu we Wrocławiu. – Przeczytałem o nim wiele wspomnień. Sam byłem zapraszany do udziału w filmach dokumentalnych. Zastanawiałem się, skąd się bierze w tych wspomnieniach tyle niedorzeczności. Skąd taka potrzeba etatowych „odbrązawiaczy” fabrykujących naprędce pseudowspomnienia jego najbliższych.

Alfred Andrys dodaje również, że słysząc często utyskiwania, iż nie pisano dla Cybulskiego scenariuszy, z myślą o nim nie nakręcano filmów, choć przecież był wielkim aktorem. – Wszystko to prawda – mówi Andrys. – Tylko dlatego najczęściej utyskują właśnie ci ludzie, od których powstanie tych scenariuszy i tych filmów zależało najbardziej?

Młodzięczość Cybulskiego, jego skórzana kurtka, których ponoć miał kilka, oraz ciemne okulary bardzo silnie utrwaliły się w świadomości widzów i reżyserów. Ci ostatni najwyraźniej mieli do niego pretensje, że czas się nie zatrzymał. Mało kto może sobie wyobrazić Cybulskiego jako starszego człowieka.

– Zbyszek nie był człowiekiem o zbyt mocnej konstrukcji psychicznej – ocenia Alfred Andrys. – Bardzo więc przeżywał, że propozycji teatralnych i filmowych z czasem pojawiało się coraz mniej. Kiedy się dowiedział, że Woj-

ciech Jerzy Has przygotowuje się do ekranizacji „Lalki”, namówił mnie, byśmy przeszli się wrocławską ulicą 18 Stycznia, bo tam reżyser najczęściej wychodził z psem. Zbyszek wstydził się zadzwonić do niego i powiedzieć, że zawsze marzył o roli Wokulskiego. Uważał, że teraz, kiedy znacznie przytył, „wydoroślał”, a jednocześnie nie zagasła w nim do końca iskra romantyka, taka propozycja mogłaby być ciekawa.

Lubił pracę z Hasem. Niektórzy twierdzą, że uratował jego „Rękopis znaleziony w Saragossie”. Reżyser na początku zaproponował rolę kapitana francuskiemu aktorowi, a kiedy propozycja ta okazała się pomyłką, wpadł na pomysł obsadzenia w tej roli właśnie Zbigniewa Cybulskiego. I ten poradził sobie z tym znakomicie. W dodatku, jak podkreślał z dumą, bez okularów i w kostiumie z epoki. Niestety, do rozmowy o Wokulskim nie doszło, bo reżyser tego dnia nie wyszedł na spacer z psem.

Alfred Andrys przypomina, że Cybulski był wrażliwy i delikatny. Gardził wszelką pompą i teatralizacją życia. Jeżeli chciał komuś sprawić radość, nie miało to nic z „pańskiego gestu”. Parokrotnie niepostrzeżenie podrzucał dozorczy zamiatającemu chodnik banknot stułotowy, po czym chował się w bramie i z ukrycia obserwował jego reakcję. Kiedy zachwycił się grą kolegów, lubił podzielić się tą radością. Nieznanemu wówczas, młodemu Krzysztofowi Chamcowi po jednym ze spektakli Teatru TV wysłał telegram z gratulacjami.

– Z tematem jego śmierci też było związanych wiele przekłamań – uważa Alfred Andrys. Na przykład to, że często, dla sportu, lubił wskakiwać do pociągu. Pojawiła się nawet opinia, że tragicznego wieczoru był pijany, choć sekcja zwłok jednoznacznie temu przeczy.

Andrys był bezpośrednim świadkiem tej tragedii. Wieczór przed katastrofą spędzili u Ludwika Flaszena. Potem przenieśli się do Ewy Warwas, ówczesnej partnerki Cybulskiego. Rozmowa się przeciągała, bo ona liczyła na jego konkretną deklarację co do ich wspólnej przyszłości. Aktor się migał, czas płynął, uciekały kolejne pociągi do Warszawy i pozostał tylko ekspres „Odra” o 4.20. – Wpadliśmy więc po rzeczy do hotelu Monopol i potem prosto na dworzec – mówi Andrys. – Gdy wbiegliśmy na peron, pociąg powoli ruszał. Wskoczyłem do wagonu pierwszy, Zbyszek nie zdążył. Nie był już taki wysportowany i szczupły jak kiedyś. Miał też długi, ciężki kożuch krępujący ruchy. Zsunął się między peron a schodek. Przerażony pociągnąłem hamulec bezpieczeństwa, ale było już za późno. Zmarł z powodu pękniętej od uderzenia wagonu wątroby. Dróżniczka zeznała, że patrząc w moją stronę, powtarzał: „Alfa, nie zostawiaj mnie samego”.

Bał się upływu czasu jakiegoś bohatera z filmu „Do dzienia, do jutra” Janusza Morgensterna, który krzychał: „Patrz na sekundnik! Widzisz, jak szybko obraca się ta mała wskazówka?”. Żył intensywnie, wiecznie rozbiegany, zawsze w pośpiechu. Jego legenda przetrwała wszakże próbę czasu. Dziś trudno zrozumieć, że niegdyś wielu krytyków negowało jego aktorskie rzemiosło, a on, choć zagrał w 35 filmach, miał świadomość, że rozmienna talent na drobne.

Ruch ręką

Słowa „jeszcze za mną zatęsknisz” mógł Cybulski kierować w stronę wielu reżyserów. Miał poczucie niedocenienia i osamotnienia. Ale wynikało to także z faktu, że uchodził za tzw. trudnego artystę. Upartego, próbującego narzucać reżyserowi swoją wizję.



Dorota Karaś zwraca uwagę, że Cybulski w którymś momencie zaczynał myśleć o reżyserii i dawał to odczuć twórcom, z którymi pracował.

Aleksander Ścibor-Rylski, który po filmie „Ich dzień powszedni” o pracy z Cybulskim powiedział krótko: „Nigdy więcej”, mimo wszystko zadzwonił do niego, gdy przygotowywał obsadę filmu „Jutro Meksyk”. Cybulski grał tam przegranego życiowo trenera młodej pływaczki. I Ścibor-Rylski przyznaje, że po raz kolejny praca z Cybulskim była utrapieniem:

– Uczestniczył w każdym przeglądzie dubli, a trzeba powiedzieć, że ich wybór w jego obecności był swoistą męką. Gotów był oglądać materiał sto razy całą noc, do świtu, póki nie nabrał pewności, że wszystko odbyło się właściwie. Pamiętam, jak w Bielsku próbował siłą wydrzeć mojemu asystentowi kartkę z numerami dubli, byle tylko zmusić nas do jeszcze jednej projekcji. Kochał wszystko, co zostało nakręcone, nie mógł się pogodzić z żadnym cięciem. Lidka Pacewicz, nasza montażystka, wspominała wielotygodniowe walki o pewien ruch ręką, nawet nie skinienie, ledwie jej drgnięcie. Mówilem: „Zbyszek, to się wlecze. Widz nie może przez sześć sekund czekać, aż to zrobisz”. Ściskaliśmy sobie ręce, wychodził niby uspokojony, a potem w nocy zadzierał mnie telefonami: „Stary, doklej to, ja cię błagam”. I tak było aż do samej premiery.

Wiesław Zdort zapamiętał, że Cybulski w chwilach koncentracji wciskał ręce w kieszenie, gryzł zapalki i spacerował ze wzrokiem wbitym w ziemię – jakby czegoś szukał: – Zbyszek cały czas chodził, krążył w trakcie prób i wstępnych rozmów, ale robił to również gdy był sam i pozostawał w zakamarkach planu. Nie słyszał nawet szelestu migawki aparatu fotograficznego, a gdy mnie dostrzegał, to... żartobliwie pokazywał język.



Zbigniew Cybulski na planie filmu „Jak być kochaną”, 1963

W teatrze był prawdziwą zagadką zarówno dla widzów, jak i partnerów. Choć ma w swym dorobku kilka znaczących ról w gdańskim Wybrzeżu i warszawskim Ateneum, aktorzy, którzy z nim grali, musieli być przygotowani na wszystko. Najgorzej wychodziło mu tzw. zafiksowanie tekstu i sytuacji, więc każdy spektakl wypadł nieco inaczej. Słaba dykcja, problemy z nauczeniem się tekstu, improwizacje – to cechowało jego grę w teatrze. Ale przed kamerą, jak napisano, Cybulski miał siłę rażenia bomby atomowej.

Bywały jednak sytuacje, kiedy sam rozpaczliwie prosił o rolę. Dorota Karaś przytacza wspomnienia Jerzego Antczaka, który znał Cybulskiego od lat. Przygotowując się do realizacji telewizyjnego „Mistrza”, spotkał aktora na ulicy z papierosem w ustach, nieogolonego, zaniedbanego, wyraźnie po kielichu. Stał przed wejściem do jednej z kawiarni. Uśmiechnął się na jego widok i zaproponował wejście do środka.

– Staliśmy przy obłizgłym barze – wspomina Antczak. – Rozmowa raz po raz więdła. Głównie ze strony Zbyszka. W pewnym momencie usłyszałem: „Nie masz jakiejś roboty w telewizji? Może być najmniejsze g...”, aby tylko zatłuc złe myśli! Ciężko żyć, Starenia (to określenie w ustach Cybulskiego wyrażało najtkliwsze uczucie). Nikt mnie nie chce. Nikt. I czasem modłę się, aby się już ta męka skończyła”.

Ślub Zbigniewa Cybulskiego z plastyczką Elżbietą Chwalibóg był wydarzeniem towarzyskim. W książce Marioli Przyzwan „Cześć, Starenia. Cybulski we wspomnieniach” Chwalibóg tak wspomina tamte czasy: „Nie potrafię powiedzieć, kiedy tak naprawdę zaczęliśmy chodzić ze sobą i staliśmy się parą. Krótko, rok czy półtora, mieszkaliśmy w Sopocie we trójkę: Zbyszek, Bobek i

ja. Potem już sami w Gdańsku w Bramie Straganiarskiej. Pobraliśmy się dopiero po paru latach w sierpniu 1960 roku. Ślub cywilny zorganizował nam profesor Juliusz Studnicki, znany artysta malarz. Chmielno na Kaszubach było jego ulubioną miejscowością i tam właśnie postanowił urządzić nam przyjęcie”.

Atmosfera była niepowtarzalna. Przyjechało wielu kolegów z uczelni Elżbiety, z teatru, z Bim-Bomu. Mnóstwo osób. Dłonie skrzepowano parze młodej małżeństwu na znak, że zostali sobie przeznaczeni na dobre i złe.

Proza życia

Dostaliśmy przedziwne prezenty: prosię, psa, miotłę, nocnik (od Zosi Czerwińskiej), maskę Bobka, którą wykonał Leszek Weroczy, rzeźbiarz, nasz profesor ze szkoły. Nie mieliśmy pieniędzy, więc każdy przyniósł to, co mógł. Byliśmy młodzi, szczęśliwi, beztroscy – wspomina Elżbieta Chwalibóg-Cybulska. – W Warszawie mieszkaliśmy najpierw w dwóch wynajętych pokojach na ulicy Baśniowej na Ochocie. Właścicielka wyrzuciła nas przed samymi narodzinami Maćka. Zostaliśmy bez mieszkania i kiedy Maciek się urodził, nie miałam dokąd pójść. Trochę czasu spędziłam u Kawalerowiczów, a potem z małym Maćkiem pojechałam do Katowic, do państwa Cybulskich. Zbyszek w tym czasie załatwił nam mieszkanie na Browarnej. Później przenieśliśmy się na Czerniakowską.

Nie rozmawiała z mężem o jego rolach: – Ale tak naprawdę to kiedy miałam z nim rozmawiać, jeśli go ciągle

nie było w domu? Od przyjazdu do Warszawy prawie go nie widywałam. Jeżeli w ogóle wracał, to późno. W końcu przestałam reagować. Musiałam się przyzwyczaić. Zbyszek był człowiekiem bardzo trudnym we współżyciu. Kiedy umarł jego ojciec, szukaliśmy Zbyszka... przez radio! Nikt nie wiedział, gdzie może być. Spośród swoich filmów najwyżej cenił „Popiół i diament”. Ja osobiście najbardziej lubię „Giuseppe w Warszawie”, bo w życiu prywatnym był taki, jak jego bohater: leniwy i bezproblemowy, zawsze trochę nieprzytomny. Ciągłe czegoś szukał, coś sprawdzał, na przykład wszystkie drzwi, czy są zamknięte. Wiecznie coś deptał lub podnosił. Jeśli na ulicy znalazł papierka, obchodził go ze wszystkich stron, deptał, podnosił, oglądał. Cała etiuda aktorska. Spacer z nim nie należał do przyjemności. Dom pełen był papierków zbieranych jeszcze w szkole podstawowej, w czasie studiów w Krakowie i pobytu na Wybrzeżu.

Owocem związku Cybulskiego z Chwalibóg był syn, któremu nadano imię Maciej, jak bohater „Popiołu i diamentu”. Chłopak w powszechnym oczekiwaniu miał sprostować kultowi ojca, choć jak przyznawał, widywał go bardzo rzadko, a kiedy sławny ojciec zginął tragicznie, miał zaledwie siedem lat. Biografowie zdawali się jednak mieć wyraźną pretensję, że Maciek Cybulski nie dorasta do roli strażnika pamięci swego ojca.

– Były czasy, kiedy jeździłem na pokazy filmów, w których grał mój ojciec – wspominał Maciej Cybulski. – W kinie Kosmos w Katowicach puścili kiedyś „Popiół i diament”. Głupio się czułem, kiedy dziewczuchy ode mnie autografy brały, ja się porządnie podpisać nie umiem, bo przywykłem do esemesów.

Maciej Cybulski dodawał też: – Nie ma się czym chwalić, ale do pierwszej pracy poszedłem późno. Miałem 27 lat. Robiłem na budowie, żeby mieć parę złotych dla siebie, kiedy matka zaczęła zarabiać i mnie ukrociła. Niestety, człowiek głupi, nadmiar piątek w głowie przewracał. Imprezy były, hotele, dyskoteki, dancingi. Mnie się pieniądze nie trzymają. Mam to po ojcu. Alkohol i dziewczyny też lubię po nim. Kolega z budowy kupił cykliniarkę i zaczęliśmy razem pracować. Kiedy wyjeżdżał za granicę, zostawił mi sprzęt. Prowadziłem własną firmę, ale musiałem ją zlikwidować, bo nie płaciłem podatków i ZUS. Miałem samochód, ale prawo jazdy mi zabrali.

Maciej zmarł w lutym 2016 roku. O jego śmierci dowiedzieliśmy się kilka tygodni po pogrzebie. Tabloidy pisały wówczas, że zmarł w nędzy, pił non stop, opuszczony przez wszystkich.

Marlena i pożądanie

Po śmierci Zbigniewa Cybulskiego francuski krytyk Marcel Martin pisał: „Ta strata jest dla Polaków tym, czym dla Amerykanów była śmierć Jamesa Deana, a dla nas – Gérarda Philipe’a”. W swoją legendę wpisała Cybulskiego sama Marlena Dietrich. W swoich notatkach zapewniała, że zginął w pociągu, jadąc do niej do Paryża. Prawda była inna, bo to był pociąg relacji Wrocław – Warszawa. Nie zmienia to faktu, że Cybulski poznał osobiście Dietrich przy okazji jej koncertów w Polsce. Spędzili ze sobą sporo czasu, obdarowywali prezentami. Znakomita artystka zaprosiła Cybulskiego do Paryża. Tyle że kiedy tam się znalazł, nie odbierała telefonu, więc do dalszych spotkań już nie doszło.

Czy miał szansę zrobić karierę międzynarodową? Alfred Andrys nie ma wątpliwości, że tak. I przywołuje taką opowieść. – Dzień przed śmiercią Zbyszka, 7 stycznia 1967 roku, jedliśmy śniadanie w wytwórni filmowej, gdy zadzwonił telefon. Zbyszek podniósł słuchawkę i po usłyszeniu kilku słów powiedział: „Aj em dawing słuchawkę maj frend”. I dał znak Stanisławowi Lenartowiczowi znającemu angielski. Okazało się, że dzwonił producent z USA, który poinformował, że Cybulski został wybrany do roli Stanleya Kowalskiego w telewizyjnej adaptacji „Tramwaju zwanego pożądaniem”. Padła też suma 100 tys. dolarów, skromna jak na warunki zachodnie, ale niewyobrażalna jak na nasze realia. Co ciekawe, dla Cybulskiego i dla mnie ta wiadomość nie była zaskoczeniem. Już pół roku wcześniej zasygnalizowano mu, że był wybrany spośród 150 aktorów do zagrania tej roli. Podzielił się tą wiadomością tylko z żoną i mną. Kiedy zapytałem, dlaczego tego nie upublicznił, stwierdził: „Boję się, że jak nic z tego nie wyjdzie, powiedzą, że wszystko sobie wymyśliłem”. ©